Rok XV. Luty 1891. Nr. 2.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca Wkładka roczna z prenumeratą wynosi **1** zł. **20** ct. Dla nauczycieli pow. i uczniów **tylko 70** cent. przesyłką **82** ct.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ulica Teatyńska liczba 23, dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Redaktor: Feliks Lewandowski.

PASTERZ KARPIÓW.

(*Bajka japońska*).

Nad rzeką świętą, która płynie u stóp świętej góry Fusi Yama, grał młody pasterz o wczesnym poranku na flecie.

W Japonii od dawna istnieje staranny chów karpi w rzekach świętych. Żyją one tam gromadami, któremi kieruje pasterz za pomocą fietni, tak jak prowadzą w Hiszpanii trzody kóz Baskowie.

Wieczorem, na znak dany wracają do zbiorników, z przejrzystych płyt porcelanowych, które są dla nich schroniskiem przed ptactwem i drapieżnemi zwierzęty.

Toiki, pasterz mieszkał nieopodal rzeki w chacie z trzciny bambusowej, do której promienie światła przedzierały się przez szyby z papieru ryżowego. Na dachu, pokrytym ziemią, kwitły białe lilije.

Za chatą ciągnął się las o stuletnich drzewach bambusowych. Przed drzwiami rozsiadły się gęste krzewy kamelij i azalei.

Ojciec Toikiego był żołnierzem, który we wielkich wyprawach (Hara-Kiri) brał udział.

Wierny zwyczajom japońskich wojowników kazał on sobie tatuować skórę głównymi epizodami tych wypraw. Na piersi jego można było więc zobaczyć wielką bitwę Taiko Samy, na plecach okropną rzeź Samurasów.

Co dnia siadywał stary na schodach swego mieszkania na taburecie z laku paląc małą fajkę bronzową.

A Toiki tymczasem chodził wzdłuż brzegów i czarował trzodę karpiów tonami swego fletu.

Toiki grał i ryby biegły na dźwięk fletni jego a on prowadził je wśród meandrycznych zakrętów rzeki obok krzaków, róż i saksyfragów, gdzie dumnie kroczyły długonogie bociany.

Karpie pobłyskiwały srebrną łuską do słońca i od czasu do czasu wystawiały pyszczki różowe nad powierzchnię wody, aby uchwycić muszki sine, brzęczące w powietrzu.

I tak krążył pasterz aż do zachodu słońca. Kiedy szczyt Fusi Yamy oblał się czerwoną barwą miedzi a z dala gong się dał słyszeć, Toiki wracał ku domowi a za nim płynęły ryby aż do rezerwoaru, do którego wchodziły przy zwolnionym takcie fletu.

* * *

W pobliżu rzeki świętej igrała często mała księżniczka Idzuna, córka gubernatora.

Przybywała w palankinie z laku, niesionym przez sług dwoje.

Idzuna doszedłszy do jedenastego roku życia, wyglądała jak pączek rozwinięty lotusu. Włosy jej powstrzymywały długie igły szyldkretu. Usta jej zabarwione były złotem i karminem; oczy sokiem kwiatów pomalowane na brunatno. Ubrana była w długą skrzyżowaną na piersi suknię jedwabną, ubraną w ptaki niebywałe. Szeroki pas żywych kolorów obwiązywał jej kibić i w tyle wiązał się w wstęgi podobne do skrzydeł motylich.

Siadała nad brzegiem, zdejmowała sandały z kości słoniowej i małemi nagiemi nóżkami krajała wodne zwierciadło.

Chętnie słuchała ona głosu fletni Toikiego.

— Młody pasterzu — mówiła — ojciec mój sprowadził mi z Indyj dwa ptaszki „*bengalis*“ śpiewające niebiańskie pieśni, ale ja przekładam nad nie te tony, które usta twe dobywają z bambusowej fletni.

I pasterz grał obok Idzuny, a karpie otoczyły ją do koła.

Czasem towarzyszyła mu księżniczka na samsynie, gatunku gitary z trzema strunami z jedwabiu, poruszanymi za pomocą drobnej laseczki z szyldkretu.

Toiki nie znał nic piękniejszego nad rzekę świętą. Widział on w niej cuda, które opowiadał Idzunie.

Turkusowa woda miała sine, przezrocze głębie, w których jak gwiazdy drgały drobne stworzenia podobne do świecących

punktów. W głębi woda, płynąca po żółtym piasku grała zielonym ogniem, lub tocząc się po różowych muszlach przybierała fioletowe barwy tęczy.

Często fala pereł przedarła się na powierzchnię i rozpływała się w powietrzu, a łuski karpiów połyskiwały światłem księżyca.

Wzrok małej księżniczki i oczy pasterza tonęły w głębinach rzeki tworząc sobie w nich światy cudowne.

— Oh, młody pasterzu! — mówiła Idzuna — jak szczęśliwą bym była, gdybym żyć mogła w tym świecie, bardziej niebieskim od nieba. Tam w dole muszą być kwiaty żywe, niosące perły w kielichach, księżniczki młode latające na rybkach skrzydlatych i pasterze nieustający grać na fletni.

I oćmiona, oczarowana nachylała się coraz bardziej nad brzeg rzeki, niby parta siłą nieznaną.

Wtedy służące odciągały ją od przedmiotu zachwytu, niosły do palankinu i wracały do miasta wśród gasnących w oddali tonów fletni pasterza.

A młoda księżniczka modliła się codziennie do Buddy, aby ją wziął do sinej wody, pełnej ryb złotych i do pasterza. Napisała modlitwę na kartce papieru ryżowego i wydarłszy je ułożyła kawałki na wachlarzu swoim i wionęła je ku niebu.

* *
*

Pewnego wieczora opanowana widzeniem wodnego nieba, Idzuna nie mogła się uspokoić. Wykradła się z pałacu ojca i pobiegła ku rzece.

Toikiego nie było. Poszedł do miasta załatwić sprawy domowe.

W okół małego domku z trzciny panował spokój. W krzakach różowych spały bociany na jednej nodze z głową ukrytą w puchu pod skrzydłami.

W dali, na Fusi-Yamie kąpały się wysokie dachy świątyni Buddy w promieniach księżyca, którego tarcza niby łódź srebrzysta płynęła po fali.

Idzuna zbliżyła się ku rzece i oglądała w źwierciadle wód bladą gwiazdkę, którą czcić ją nauczono.

Z początku oczy jej nie widziały nic nad chwiejne kształty podobne do chmur, później widziała dokładnie góry rzeki i okolice.

Wietrzyk zbruździł powierzchnię rzeki i obraz się zmienił. Młoda księżniczka widziała teraz w blasku księżyca ogromną pagodę srebrną, w którei siedział olbrzymi Budda na tronie z połyskującego kruszczu, trzymając trzydziestu dwóch synów

swoich w ramionach. U stóp jego płynęły kadzidła w naczyniach bazaltowych. Dziewice grały na gitarach o trzynastu strunach.

I u stóp tej świątyni srebrnej zdawało się Idzunie, iż widzi Toikiego, grającego na flecie i matkę jego podającą jej misę z saki, która łączy oblubieńców na wieki.

Mała księżniczka nachyliła się aby ją uchwycić i znikła w rzece.

Księżyc zmięszał się na chwilę i wrócił znów do dawnej nieruchomości na powierzchni cichych fal, których tajemnice już znała Idzuna.

W dali bocian zerwał się z żałobnym okrzykiem i cisza zapanowała na okół.

Na drugi dzień Toiki zdziwił się niemało, iż niewidzi księżniczki. Dzień cały oczekiwał jej nadaremnie.

Wieczorem, kiedy księżyc pojawił się znów na widnokręgu, pasterz pozostał na brzegu i wydobywać zaczął żałobne tony z swej fletni, wyrażające żal jego i niewdzięczność Idzuny.

A kiedy grał, zmącił się odblask księżyca na zwierciadle wód i postać jakaś niewyraźna podniosła się z rzeki, podobna do mgieł wznoszących się z dolin jesienią.

I coraz więcej wyraśną stawała się ta postać. Piękna sylwetka małej księżniczki zarysowała się marmurowo na ciemnem tle. Twarz jej była uśmiechnięta, w lewej ręce trzymała siny kwiat lotosu, który zerwać wolno tylko od ciała oderwanemu a do Nirwany wstąpionemu duchowi, drugą ręką podniosła puhar z saki, którym oblubieńczy muszą zmaszać swe usta. Lazurowa jej suknia spływała w wodzie i trudno było odgadnąć, czy o brzeg biją jedwabne fałdy jej sukni, czy fala rzeki.

Toiki grał ciągle a Idzuna płynęła za tymi tonami po wód zwierciedle.

Księżyc igrał w fałdach jej sukni a pasterz zobaczył także srebrną pagodę.

Z brzaskiem dnia Toiki grać przestała postać Idzuny zniknęła.

Wieczorem na głos jego fletni wypłynęła znów postać księżniczki na fale. I tak trwało nocy wiele. Toiki liczył lata.

I w nocy kiedy Idzuna skończyć miała lat 15, wiek zamęścia — pojawiła się postać jej piękniejsza niż zawsze w białej mgle, podobnej do woalki ślubnej.

Pasterz zagrał pieśń weselną, a gdy pierwszy brzask różowy wypłynął z poza Fusi-Yamy i zgasił blask księżyca, rzucił się do rzeki.

Suknia Idzuny owinęła postać Toikiego, który na wieki zasnął w tajemniczych głębiach niebiańskiej rzeki.

* * *

Od tej chwili nikt nie widział złotołuskich karpiów; ale u stóp Fusi-Yamy na szczycie kwitnącej azalei śpiewają dwa drobne ptaszki „*bengalis*“ z niebieskiemi skrzydełkami pieśń pasterza w mglistem przeźroczu poranka.

Tresura i cyrki.

Gdy w wiekach średnich po raz pierwszy widziano, że konie klękały, do stołów zasiadały, chusteczki aportowały, dziwiono się temu bardzo i nie przypisywano tego inteligencyi zwierząt i wytrwałości tresowników, lecz dziełom szatana, czarom, i zwalczano to wszelkiemi środkami. I tak opowiada Guériniére w dziełku swojem „Sztuka jeżdżenia“, że niejaki Delcampe koniuszy francuskiego króla, w pamiętniku swoim wyraźnie zapisał, że w r. 1664 pewien Neapolitańczyk, nazwiskiem Pietro, który posiadał dziwnie tresowanego konia, w mieście Arles we Francyi wraz z koniem swoim żywcem spalony został, gdyż uznano go za czarownika. „Mauraco“, tak zwano tego konia, musiał za swoje sztuki srogo odpokutować.

Tak samo spalono w Lizbonie publicznie w r. 1601 wytresowanego konia, jako przez djabła opętanego. Gorzej jeszcze szło magikom, z których jednego w Polsce jeszcze w r. 1739 torturowano i powieszono.

Rzeczywiście, że w początkacch łączono z tresurą koni wiele szarlatanizmu, którym jeszcze po dziś dzień mniejsze trupy cyrkowe prawdziwą tresurę osłaniają. W dawnych czasach było to już wielką sztuką, gdy tresownik zapewnił, że koń jego na zapytanie odpowiada. Ażeby to udowodnić, przemawia on do konia, a przytem nieznacznie w łopatkę go uszczypnie, koń wyda głos z bólu, a cały świat nie może wyjść z podziwienia. Można tego dokazać z każdym łaskotliwym koniem, chociażby tenże nigdy nie był tresowanym. W pantominie „Gerard de Vevers“ często dawniej przedstawianej, smutny i zakochany jezdziec zdejmuje z konia uzdę, aby mu dać owsa. Koń musi według woli autora podzielać smutek swego pana i nie jeść owsa, który mu podano. Zaledwie schyli głowę do żłobu, podnosi ją napowrót potrząsając nią, a publiczność podziwia konia, nie wiedząc, że żłób naszpikowany ostremi gwoździami, które ranią nos konia.

Z większych cyrków wyrugowano na szczęście szarlatanizm zupełnie, a to co tam dziś widzieć można, jest rezultatem wykończonej techniki i sztuki tresowania przez prawdziwych mistrzów uprawianej. Wprawdzie nie mamy co do tresowania koni pewnej ustalonej metody, lecz każdy pracuje według własnego doświadczenia na podstawie dotychczas osiągniętych rezultatów, usiłując wszystkie swe środki pomocnicze ukryć przed ciekawymi, tak, że ta lub owa dobra metoda staje się najczęściej własnością jednej rodziny. Ztąd to pochodzi, że o tresurze koni dla cyrków, tak co do szkoły wyższej, jak i co do tresury na wolności nie mamy dzieł żadnych, i tylko dwaj Francuzi napisali mały podręcznik, dziś już także przestarzały.

Najważniejszem jest poznaś przy tresurze konia, gdy tenże posłuszeństwa odmawia, czy on to czyni z kaprysu, złośliwości lub z zgłupoty. Innych trudności nie nastręcza nauka mistrzowi. Pierwszym warunkiem jest dać poznać koniowi, czego się od niego żąda i aby to osiągnąć, należy, całym szeregiem dokładnych czynności, działającyach na pojęcie konia, to dokładnie oznaczyć, co w jego pamięci utrwalić chcemy. Tego pojęcia nie wpoimy koniowi za pomocą bicia, lecz tem, że cel zamierzony pierwej dokładnie oznaczymy, a następnie w stosownym czasie odpowiednią karę lub nagrodę zastosujemy i ruchy, które on ma zrobić, w pamięci jego utrwalimy. Daleko by nas to zaprowadziło, gdybyśmy tu chcieli wyliczać te metody, których używają, aby konia wytresować do sztuk takich, jakiemi są: aportowanie, strzelanie, kładzenie się, łapanie itp., a które w cyrku tak często podziwiamy.

Przejdzmy teraz do tresury t. z. wyższej szkoły. Tresura konia do zwykłego użytku ogranicza się zwykle na możliwie największym rozwoju sił, na gibkości i sprężystości muszkułów, bez szczególnego uwzględnienia jego rozumu i inteligencyi. Tresura konia na wolności, jako też i wyższa szkoła wymaga od konia zdolności psychicznych, inteligencyi, które rozwinąć i wyzyskać staramy się.

O szkole wyższej, w znaczeniu akademicznem nie ma co mówić przy sztukach jezdnych, Jeździec sztuczny musi produkcyami konia swego zrobić wrażenie na publiczności, gdyż chodzi mu tu głównie o zysk. Jeździec sztuczny nie wiąże się przy tresurze swoich koni właściwemi regułami szkoły wyższej, lecz postępuje drogą wskazaną mu indywidualnością konia i wychodzą-

cemi na jaw zdolnościami jego, a na której najprędzej i najpe wniej swój cel osiąga.

Czystą szkołę hiszpańską widzimy dziś tylko jeszcze w cesarskiej masztarni w Wiedniu. Dawniej istniały szkoły hiszpańskie także w Berlinie, Hanowerze i Dreznie, które jednak zarzucono, gdy rady tych państw odmówiły środków na ich utrzymanie Do wyższej szkoły należą: marsz, galop (w prawo i w lewo, trucht skoczny) hiszpański (hardy) krok, i „piaffe“ tj. truchtem na miejscu, u niektórych jeźdźców także truchtowe podnoszenie wszystkich czterech nóg, z przerzucaniem części tylnej, to w prawo, to w lewo, aby na trudności tego wykonania zwrócić uwagę publiczności. Inne sztuki, które w cyrkach widzimy, jak przyklękanie, chodzenie na kolanach albo na nogach tylnych, wspinanie się, wchodzą wprawdzie w zakres szkoły wyższej, lecz nie mogą być właściwie do niej zaliczone. C. d. n.

Wścieklizna.

„Przegląd“ otrzymał pismo od swego korespondenta, który potwierdza to wszystko, cośmy już tak często w „Miesięczniku“ o Pasteurze i o jego leczeniu wścieklizny, chociaż nieco w dobitniejszych wyrazach wypowiedzieli, a mianowicie, że Pa steur nie leczy lecz zatruwa ludzi wścieklizną.

A ponieważ korespondent ów opiera się na orzeczeniach fachowego pisma lekarskiego „*Journal de médecine*“, niech to posłuży za dowód, czy mówiąc o Pasterze i jego metodzie nie mieliśmy słuszności.

Oto ów artykuł:

W przedmiocie leczenia wścieklizny metodą Pasteura odebraliśmy pismo następujące:

Czytam nieraz w pismach nie lekarskich, lecz w dziennikach politycznych i literackich o dokonanych ze szczęśliwem jakoby skutkiem szczepieniach wścieklizny przez Pasteura i jego zwolenników. Okoliczność ta skłania mię do wypowiedzenia w tym przedmiocie słów kilku, do użytku zwłaszcza osób, które pism lekarskich nie czytają i dla tego, wierząc ślepo w skuteczność metody szczepienia wścieklizny, mogły w razie nieszczęśliwego wypadku narazić siebie lub kogoś ze znajomych na bezowocowną i zgoła niepotrzebną podróż do paryskiego instytutu Pasteura.

Teorya szczepienia wścieklizny i chorób zakaźnych w ogóle

nietylko przez zwolenników Pasteura, lecz i przez samego mistrza, daleką jest jeszcze od tego, aby ją za udowodnioną uznać było można. Wiele jeszcze pracy naukowej i licznych doświadczeń potrzeba, aby ta metoda leczenia zyskała sobie pełne prawo obywatelstwa w nauce, mianowicie w przekonaniu tych, co w organizmie ludzkim widzą coś więcej nad prosty aparat chemiczny, co rozważają i badają w nim także zjawiska biologiczne.

Takie powagi naukowe, jak Peter, Pezzie i Colin, pierwszorzędny profesor weterynaryi w szkole alfordzkiej, uznali, że na osiągniętych dotychczas skutkach szczepienia nie można jeszcze budować nic, że trzeba dalsze robić doświadczenia, ściślej poddając je kontroli.

Pasteur i jego stronnicy bardzo się mylą gdy porównywują swoje szczepienia wścieklizny z t. zw. szczepieniem ospy, albowiem gdy w myśl Jennera szczepimy krowiankę, nie wszczepiamy właściwie ospy, lecz chorobę tejże natury łagodną i nieszkodliwą, dzięki której przeszkadzamy rozwinięciu się ospy, choroby cięższej. Nareszcie szczepienie krowianki odbywa się nie w stanie choroby, lecz zdrowia, podczas gdy metoda Pasteura polega na szczepieniu jadu identycznego, w czasie, gdy ten już przez ukąszenie mógł być zaszczepionym.

Otóż, po zaszczepieniu Jennera, nie znamy dotąd żadnej choroby nieszkodliwej, którąby mogła przez powinowactwo natury swojej zapobiedz wściekliznie, antraxowi, tyfusowi i t. p. W chorobach takich będziemy chyba szczepili jad rozcieńczony, i może kiedyś po długich badaniach i doświadczeniach, osiągniemy pomyślne na tej drodze w chorobach zakaźnych rezultaty. Bądź co bądź długo zapewne trzeba się będzie przytem rachować z usposobieniem indywidualnem, bo jakkolwiek ów jad będzie rozcieńczony, jeżeli trafi na grunt odpowiedni u danej osoby, może wywołać chorobę niebezpieczną.

Próbowano niegdyś ospę samą rozcieńczoną, próbowano szczepić antrax podług metody Pasteura; wszelako najsławniejsze powagi naukowe: prof. Jaccoud, Bergman, Debove byli tego zdania, że wskutek owych szczepień w bardzo wielu razach następowała śmierć.

Tak samo ma się rzecz ze szczepieniem wścieklizny u ludzi.

Nie wchodząc tu w roztrząsanie statystyki Pasteura, zawsze nieprawdopodobnej, weźmy pod uwagę co następuje:

Szczepieniu wścieklizny poddawane były: 1) osoby ukąszone przez psy nie wściekłe, 2) ukąszone przez psy, podejrzane o wście-

kliznę, i 3) ukąszone przez psy, rzeczywiście wściekłe. Ta ostatnia kategorya musi w istocie ograniczyć się do bardzo małej liczby, bo po wieloletnich naukowych bezstronnych badaniach i obserwacyach uznano już, że tylko czwarta część ukąszonych przez psy, rzeczywiście wściekłe, ginie z powodu wścieklizny. Bo też i tu, jak w innych chorobach zakaźnych, gra pierwszorzędną rolę usposobienie indywidualne.

Stwierdzili wreszcie lekarze, iż pomimo szczepień Pasteura w pięciu latach jego początkowej praktyki umierało we Francyi ze wścieklizny tyluż ludzi, co i przed temi próbami, ile zaś umiera dzisiaj, zobaczymy przy zakończeniu tego listu.

Jeżeli kto widział wielką ilość ludzi, przychodzących do laboratorjum pasteurowskiego i ztąd powziął mniemanie, że tam robią się cuda uzdrawiania, to mylił się bardzo. Najczęściej były to osoby ukąszone przez psy niewściekłe, osoby te były mocno przestraszone i zachęcone do poddania się szczepieniu pełną błogich obietnic statystyką stronników metody. Z całą oględnością i uszanowaniem dla prawdy zwracały na to ciągle uwagę specyalne pisma paryskie, jedne tylko gazety polityczne, w artykułach pisanych przez niespecyalistów i w reporterskich notatkach unosiły się nad rezultatami szczepień pasteuroskich.

Nie chcąc przedłużać niniejszego listu, na zakończenie zwrócę jeszcze uwagę: 1) że liczba osób ukąszonych przez psy istotnie wściekłe nie była i nie jest nigdy tak wielką, jak powszechnie sądzą i że z pośród pokąsanych, jak już wspomniałem, najwyżej czwarta część umiera ze wścieklizny. 2) Że więc osoba ukąszona, która poddała się szczepieniu, mogłaby bardzo prawdopodobnie i bez szczepienia nie umrzeć, że wreszcie bardzo trudno dowieść, iż osoba ta umarłaby bez szczepienia.

Próby byłyby tylko wtenczas stanowczo decydujące, gdyby żadna z osób, na których szczepienie dokonanem było, nie umarła a tego, niestety, dotychczas statystyka nie dowiodła i nie dowodzi.

Nie jestem ja bynajmniej przeciwnikiem pomysłu Pasteura, owszem, spodziewam się, że czy przez niego samego, czy przez następców, cel szczepienia chorób zakaźnych a może i wścieklzny, kiedyś osiągnięty zostanie, lecz twierdzę, *że jak dotąd, Pasteur i zwolennicy jego metody jeszcze nie wynaleźli pewnego i wszechstronnie sprawdzonego środka przeciwko wściekliźnie i zanadto wcześnie i pospiesznie przeszli od prób na zwierzętach do praktyki na ludżiach, lekceważąc tyle ofiar niewinnych, których*

łatwowierność pchała do laboratorium sławnego chemika, lecz nie — lekarza!

Napisałem tych ostatnie kilka słów na zasadzie wyczerpu jącego artykułu *„Journal de médecine de Paris“ (Nr. 24, du 30 Mars 1890 200)*, który to artykuł kończy się tak: „Na podstawie sprawozdań i dokładnych wiadomości o nieszczęśliwych, którzy popowracali na wieś, by zapaść na straszne cierpienie po kuracyi w Paryżu, możemy zwrócić uwagę bezstronnych lekarzy, sądzących terapeutyczną wartość metody Pasteura nie według ogłoszeń jego, lecz według rezultatów przez nas sprawdzonych. *że liczbę driewiedziesięciu czterech wypadków śmierci ze wścieklizny trzeba przypisać nie ukąszeniu psów, lecz zastosowaniu szczepień według sposobu p. Pasteura.*“

Obrazki z życia psa.

Z życia psa. Dr. Ph. Bauer zamieszcza w wychodzącem w Bostonie „Our Dumb Animal“ opis następującego zdarzenia:

Przed kilku laty postanowlła żona burmistrza pewnego niewielkiego miasta psa swego z rasy nowofundlandzkiej dać fotografować. Udała się więc z ulubionem swem zwierzęciem do fotografa a ten, ułożywszy psa odpowiednio naprzeciw czarnej rurki przyrządu, już miał zrobić zdjęcie, gdy pies, biorąc rurkę przyrządu za lufę strzelby, przestraszony uciekł. Sprowadzono go powtórnie, ale i tym razem próba fotografowania psa z powyższego powodu nie powiodła się. Rozgniewana pani burmistrzowa powróciła do domu i chcąc ukarać nieposłuszne zwierzę rzekła mu: „Jesteś niedobre, niepoczciwe psisko, poczekaj, nie wezmę cię nigdy na przechadzkę!“ Pies, jak gdyby zrozumiał groźbę, spuścił ogon i za chwilę znikł a pojawił się dopiero za kilka godzin z pakunkiem zawieszonym na szyi. Otworzono pakunek i znaleziono w nim kilka fotografii poczciwego psiska. Fotograf opowiedział później, że pies przyszedłszy do jego mieszkania ustawił się w tej pozie jaką mu tenże poprzednio do fotografii nadać usiłował i czekał tak długo, póki zdjęcia w zupełności wykończone nie zostały. *(W.)*

Pies na krze lodu. Cieka i wiedeńczycy, którzy w ostatnich dniach spieszyli na most arcyks. Rudolfa, aby się przypatrzeć odpływającej krze, nie mogli się oderwać od widoku poruszającego serca najtwardsze. Od niedzieli (25. bm.) t. j. od czte-

rech dni, siedzi na jednej krze pies i z niej ustąpić nie chce. Wszystkie starania spędzenia go tykami z tej kry, która lada chwila ruszy, nie odnoszą skutku. Ludzie litościwi dorzucają mu pożywienie, które leże nietknięte. Pies z wlepionemi oczy w nurty wody siedzi jak skamieniały. Oto taka historya tego psa. Pies i pan jego stali na lodzie, lód pękł i kra popłynęła z nimi. Pan spadł i utopił się. a pies wyczekuje, aż pan jego wypłynie z nurtów wody. Wierne psisko, nie doczekał się pana; piątego dnia ruszyła kra i pies popłynął za swoim panem.

Najwierniejszy. Pewien mieszkaniec miasta szwajcarskiego Zug przesłał w odpowiedniej skrzyni psa bernardyńskiego przyjacielowi w Brukseli. W kilka dni po przybyciu na miejsce przeznaczenia pies uciekł, a w dwa tygodni później wychudły, zgłodniały, śmiertelnie znużony, stanął przed drzwiami domu dawnego pana. Po kilku dniach, wierny pies zginął skutkiem trudów dalekiej i uciążliwej podróży.

Obrazki Galicyjskie.

Ze Stanisławowa otrzymał „Przegląd„ od tamtejszej filji galicyjskiygo Towarzystwa ochrony zwierząt następujące pismo:

W jednym z poprzednich numerów „Przeglądu“ w korespondencyi ze Stanisławowa nadmieniono, że „konie fiakierskie są tu bardzo biedne i słabe, z czego okazuje się, że Towarzystwo nasze, świeżo tu zawiązane, czynności swej jeszcze nie rozpoczęło“.

Owóż oświadczamy, że Towarzystwo czynności swe już rozpoczęło, ale niestety natrafia ono na stanówczy i niczem nieprzezwyciężony opór ze strony władz, t. j. magistratu i policyi miejskiej. Jak „Dziennik Towarzystwa“ wykazuje, wniesiono do dziś rozmaitych podań 30, z tych do magistratu 4, a żadne nie zostało załatwione. Magistrat wprawdzie wydał rozporządzenia i to nadzwyczaj ostre, np. aby kury na targu miały przekupki całkiem niepowiązane, aby chłopi nie pastwili się nad końmi, i nakazał policyi, aby czuwała nad tem; ale czy żydzi konie męczą lub czy je przeciążają, na to tutaj uwagi nikt nie zwraca, na to patrzy policya obojętnem okiem, a jeżeli który z członków Towarzystwa sprowadzi takiego żyda do magistratu, wówczas urzędnik magistratu mówi zaraz: „Panowie, nie róbcie nadużyć:“

Rzeczywiście prawdą jest, że w Stanisławowie policjant boi się żyda, a żyd z policjanta się smieje, mówiąc: „Dus ist

a policajmyn, dus ist a goj“, bo policjant nie ma' tu żadnego poparcia ze strony władzy wyższej, a jeżeli sprowadzi żyda na policję i poda do ukarania, żyd nietylko nie zostanie ukaranym, ale policjant jeszcze dostanie „nosa“. Wobec takich stosunków ustaje wszystko, policji niepotrzeba bo wszystkim wolno robić co im się tylko podoba. Tu nie pomoże nic gorliwe staranie inspektora policyi, tu wszystkie zabiegi jego niepotrzebne. Szczęście doprawdy, że złodziei jeszcze nie puszczają bezkarnie, ale o inne przstępstwo może być żyd całkiem spokojny.

My z naszej strony robimy co tylko możemy, i dokładamy wszelkiego starania, aby podnieść znaczenie Towarzystwa, aby zaszczepić w mieszkańcach choć iskrę przywiązania ku zwierzętom i te uwolnić od ciągłych prześladowań, które się tu zakorzeniły. Do dziś poparcia wprawdzie nie mamy, ale tem nie chcemy się zrażać i patrzymy pogodnem okiem w przyszłość.

Tadeusz Paszkowski.
Sekr. Towarzystwa.

Tak nie zrażajcie się! Jestto niestety ogólny stan naszych nieszczęśliwych stosunków autonomicznych Chwiejność, niepewność, trwożliwość i brak energii w ścisłem spełnianiu swych obowiązków w obec tych, od których się zawisło. Szczególnie widzimy takie smutne objawy tam, gdzie w zarządash autonomicznych mają przewagę żydzi, tam buta i nieposzanowanie organów autonomicznych dochodzi do ostateczności. Mamy tego bardzo liczne i bardzo smutne przykłady, ba nawet, mieliśmy przykłady, gdzie organa autonomiczne stawały w obronie dręczycieli. W innych krajach dzieje się zupełnie inaczej. Tam Towastwa ochrony zwierząt doznają wielkiego poparcia ze strony władz i całego społeczeństwa. My musimy się zastosować do naszego spółeczeństwa i nie zrażać się pierwszemi niepowodzeniami. Nie zadługo zmienią się nasze stosunki. Gdy nowa ustawa karna zostanie uchwaloną, a dręczenie zwierząt podpadać będzie wyrokom sądów, pociągać będziemy do odpowiedzialności sądowej nawet i dzisiejszych protektorów dręczyli. Że sobie przyjacieli tem nie zaskarbimy, to pewna, lecz spowodujemy większe poszanowanie ustaw obowiązujących. Nim to nastąpi żądajmy energicznie, żądajmy stanowczo spełniania swoich obowiązków od tych, którzy są do tego powołani, nie puszczajmy żadnej sprawy płazem, a w razie usuwania się ich lub przeszkadzania, odnośmy się wyżej, aby ci panowie poznali, że nie dlatego pod-

jęliśmy się tej sprawy, aby im uczynić wygodniejszem ich urzędowanie, lecz że mamy zupełnie inne, donioślejsze cele i że drobnemi szykanami w dążnościach naszych powstrzymać się nie damy.

F. Lewandowski.
Sekr. Tow.

Rozmaitości.

Pamiętajcie o ptaszkach. Szląska *Gazeta szkolna* ogłosiła następujący czuły wierszyk, z uwagą, że dobrze byłoby ażeby nauczyciel, umieścił go w każdej szkole dla pamięci litościwej dziatwy:

Prosim, prosim. dajcie chleba,
Bo już chyba zginąć trzeba!
Wszystkie strzechy, las i pole,
Wszystkie ścieżki, wszelką rolę,
Gdzieby ziarnko znaleść można,
Skryła śniegiem zima groźna.
Zasypane ziarnka nasze,
A więc błaga biedne ptaszę:
Prosim, prosim, dajcie chleba,
Bo już chyba zginąć trzeba!

Prosim, prosim, dajcie chleba,
Bo już chyba zginąć trzeba!
Gdy powróci piękna wiosna,
Zabrzmi nasza pieśń radosna.
Wtenczas my, wraz z szarym wróblem,
Z drzew wam wszystkie czerwy zdzióbiem
I szkodniki gąsienice.
— Napełnicie spichrz, piwnice.
Prosim, prosim, dajcie chleba,
Bo już chyba zginąć trzeba.

— **Czego zabijać nie wolno**. W książkach szkolnych we Francyi umieszczono nauki o użyteczności niektórych zwierząt, a których zabijać nie należy. Powiedziano w tych naukach: Jeż. Żywi się głównie myszami, ślimakami i pędrakami, a więc zwierzętami dla rolnictwa szkodliwemi. Nie zabijajcie więc jeża. Ropucha. Prawdziwa pomocnica rolnika. Każda z nich niszczy 20—30 owadów na godzinę. Nie zabijajcie ropuchy. Kret. Zjada on bezustannie pędraki, poczwarki, gąsienice i inne dla rolnictwa szkodliwe owady. Nie zabijajcie kreta. Ptaki. Każda prowincya wykazuje rok rocznie wiele szkód wyrządzonych przez owady. Jedynymi ich nieprzyjaciółmi, którzy je wyniszczyć mogą, są ptaki. One to są największemi niszczycielami gąsienic i dopomagają rolnictwu i sadownictwu. Nie zabijajcie ptaków. Biedronki. Te małe owady są najlepszymi przyjaciółmi rolnika i ogrodnika, bo zjadają mszyce. Nie zabijajcie biedronek!

Okazy fauny amerykańskiej giną... Bawoły niezadługo należeć będą do osobliwości, a taki sam los czeka i kajmany, czyli aligatory

(crocodilus sclerops), przebywające ongi tak licznie w błotach, jeziorach i wszelkich rzekach gorących sfer Ameryki. Płaz ten wielce jest przez mieszkańców Florydy cenionym. Skóra jego ma znaczną wartość zęby sprzedają się po cenie 12 60 franków za kilogram, tłuszcz stanowi również cenny artykuł handlu, a mięso uwolnione od tłuszczu, jest doskonałym pokarmom dla świń psów i ptactwa domowego. Nawet uboższa ludność murzyńska przekłada mięso kajmana nad chude i łykowate mięso z krów florydzkich. W Ameryce południowej ogon kajmana uważany bywa nawet za przysmak.

— **Przysmak brazylijski.** Mrówki stały się od niejakiego czasu środkiem pożywienie w Brazylii. Bezskrzydłe osobniki robocze bardzo wielkie, pieką na kamieniu lub blasze i spożywają z chlebem. W Santo Paulo sprzedają je już pieczone na ulicach. Mrówki te siedzą przez dzień skryte w swych kopcach, dopiero w nocy wychodzą na żer. Wpadają wówczas i do mieszkań ludzkich i rzucają się szczególniej chciwie na maniok, tj. mąkę z korzenia Cassawy. Wpadłszy wszakże do domu, niszczą także wszelkie plugastwo: szwaby. stonogi i p. do szczętu. Smak ich po upieczeniu ma być podobny do smaku kwiczołów.. —

Wydra w lesie. Nadzwyczajny wypadek wydarzył się myśliwym polującym w lasach koło Forbach. Między zwierzyną według wszelkich reguł myśliwskich nagonioną okazała się wielka, silna wydra Niezwykle to zjawisko na polowaniu w lesie. —

Białą kuropatwę zastrzelono temi dniami w majętności br. Stokingera w Czurgo na Węgrzech.

Wieloryb w Tamizie. Dnia 20 bm. przypłynął wieloryb Tamizą aż do doków Filbury i ugrząsł na brzegu. Ma mieć $35^1/_2$ stóp długości, a $13^1/_2$ stóp objętości, waży 6 ton i 5 centnarów.

Przeciw ukąszeniu jadowitej żmyi jest, według zaręczeń lekarzy brazylijskich, najlepszym mangan potażu. W wielu przypadkach, gdzie skutki ukąszenia najjadowitszych żmij już w bardzo groźnej formie się przedstawiały, zastrzyknięcie owego środka okazywało się bardzo skutecznem. Jeden z dzienników radzi aby w każdej wsi nauczyciel, sołtys, lub inna jaka odpowiednia osoba miała ten środek w domu i pouczoną była jak go wstrzykiwać.

Oryginalny zapis. W Breście otwarty został w tych dniach testament niejakiej pani Vinzenzo Bonsignore, która cały swój majątek, wynoszący około 300.000 lirów, nie mając bliższych krewnych, zapisawszy na cele dobroczynne i religijne. pozostawiła kilka legatów znajomym swoim na pamiątkę. Otóż w tej liczbie znajduje się zapis 1.500 lirów, przeznaczony dla jednej z przyjaciółek, a opiewający, że ta nazajutrz po otwarciu testamentu ma kupić koszyk i zamknąwszy w nim szczegónie ulubionego kota nieboszczki, wrzucić go do rzeki, bacząc, aby koniecznie utonął.

Przyjaciółka nie przyjęła tego oryginalnego zapisu; biedny kot żyć będzie, aż do samej śmierci.

Legat dla Tow. ochrony zwierząt w Gracu w kwocie 10.000 zł. zapisała p. Maria Selliers de Mozanoille wdowa po pułkowniku.

Przestroga dla dam. Żółta febra wybuchła w pewnej miejscowości obok Lugduna, która zawleczoną została z Ameryki południowej przez majtków skutkiem importu piór ptasich do ozdoby kapeluszów damskich.

Dla kowali. Ministerstwo wojny postanowiło dotychczas w wojsku przepisane ocele wśrubowane w podkowy końskie, zastąpić innemi według nowego wzoru, jakie obecnie już częściowo w wojsku i u wielu prywatnych są używane. Przemysłowcy trudniący się wyrobem oceli mogą na żądanie wzory nowych oceli, względnie odnośnego rysunku otrzymać bezpłatnie w składzie materjałów artylerzyckich w Wiedniu.

Król myśliwych. Zmarły niedawno książę Ludwik Rohan, był wielkim myśliwym. Jego skrupulatnie prowadzona księga myśliwska wykazuje przeszło 100 tysięcy ubitej przez niego zwierzyny, — niedźwiedzi, jeleni, sarn, wilków, aż do ptactwa. - Samych rogaczy zabił przeszło 1 200.

Spustoszenia w Jardin des plantes. Na ostatniem posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu zawiadomił profesor Milne-Edwards swoich kolegów, że tegoroczna zima poczyniła między zwierzętami w *Jardin des plantes* ogromne spustoszenia, ponieważ budynki wystawione jeszcze w początkach bieżącego wieku nie dają dostatecznego schronienia dla zwierząt Oprócz wielu małp, dzikich świń, jeleni, jako też rzadkich ptaków, szczególnie żórawi i marabutów, wyginęły 4 antylopy, afrykańska żebra, australski lirogon, wartości 1000 franków. Ogólna szkoda wynosi 25.000 franków.

1891 i 1892, lata chrząszczów majowych. Namiestnictwo Dolnej Austryi poleciło na wniosek Towarzystwa gospodarskiego wszystkim starostwom, aby za pomocą zwierzchności gminnych ogłosili mieszkańcom że tępienie chrząszczów majowych, zbieranie pędraków w czasie orania są ustawą przepisanemi środkami ochronnemi. Najlepszemi pomocnikami w niszczeniu chrząszczów są krety i wrony, tudzież świnie wypędzone na ścierniska i na ugory. Dobrym jest także następujący środek na tych niszczycieli sadów: Beczkę nieużyteczną wysmarować wewnątrz smołą lub żywicą i postawić w niej na noc światło, należycie opatrzone, aby się beczka nie zajęła. Nazajutrz ściany beczki będą pooblepiane poczwarkami. Jeden gospodarz francuski pisze, że w ten sposób kosztem 2 franków oczyścił cały ogród z robactwa.

Doświadczenie przekonało, że najwięcej go bywa po tęgiej zimie, gdy nagle nastąpią ciepła wiosenne.

Jaskółki pocztowe. We Francyi zwrócono uwagę na to, czy zamiast gołębi nie możnaby ułożyć jaskółki do służby pocztowej. Próby czynione w niektórych stacyach wojskowych udały się doskonale. — Sposób tresury jest jeszcze tajemnicą. Wiedeńskie Towarzystwo ratunkowe niezadowolone z urządzonej niedawno służby gołębi pocztowych, udała się do jednego przyjaciela w Paryżu, który przyrzekł przesłać w marcu br. 12 jaskółek tresowanych, które dotychczas tylko w armii francuskiej są używane.

HUMORYSTYKA.

Postępy fizyologów.

A.: Mamy na naszym uniwersytecie jednego profesora, który odkrył sposób zarażania królików na epilepsyę.

B.: To bagatela. We Lwowie żyje taki profesor, który szczepieniem sprawia u karpi wodowstręt.

Z wykładów fizyki.

— Jeżeli w czasie burzy będziecie nacierali silnie kota po grzbiecie, wówczas zaczną wam skakać do oczów iskry elektryczne. Rozumiecie!

— Rozumiemy.

— Gapski! powtórz: jeżeli w czasie burzy zaczniemy silnie nacierać kota po grzbiecie, co nam skoczy do oczów?

— . . . Kot, panie profesorze.

Nadesłane:

Ostatnie ostrzeżenie. „Ponieważ, gdy w naszym okręgu polowania i w okolicy puszczanie wielkich dogów dotyczących przy spacerze, chociaż z kagańcami, przepisy nie bywają przestrzegane, nadybane podczas polowania, natychmiast będą zastrzelone bądź co bądź, kto jest ich właścicielem.

N. N.
dzierżawcy polowania.

Czyniąc zadość prośbie pp. dzierżawców polowania umieszczamy ich ostrzeżenie w dziale humorystyki, bo zdaje się proszący sami sobie tak życzyli. Jeżeli panowie dzierżawcy tak dzielnie władają fuzyami jak piórem, to psy i zające mogą żyć bezpiecznie.

W RAJU.

— Matulo moja powiedzcie przecie
Coście widzieli na tamtym świecie?
— O moje dziecię, byłam ja w raju
Gdzie rosną drzewa, jak w naszym gaju
Same jabłonie i polne grusze
Na nich najczystrze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote.
— Mateńko moja, proszę ja ciebie
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Najświętsza Panna.
— O moje dziecko, o kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe
A to są dusze błogosławione...
Matka Najświętsza dlá ludzkiej nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy.
. . . .

T. Lenartowicz.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem St. Baylego.